

Jestem niewinna, więc jestem silna

Z perspektywy swych 30-letnich aktorskich doświadczeń życiowych wielka artystka opowiada o miłości, zdradzie, mężczyznach, pogodzie ducha i wyjeździe do Australii. A także o tym, że ludzie piszą do niej, iż po obejrzeniu filmu czy sztuki z jej udziałem poczuli się mocniejsi. Dlaczego? Bo „w każdym człowieku istnieje potrzeba dobra”

Mieszka tuż przy Plan-
tach, w starej kamieni-
cy, na tym samym stry-
chu, na który wpro-
wadziła się 30 lat temu
z pierwszą wielką miłością swo-
jego życia – Wiesławem Dym-
nym. Strych iście krakowski:
z kotem, kominkiem, kwiatami,
bibelotami. Wszystko na swo-
im miejscu, wszystko wygodne
i przytulne.

**– Zagrała Pani w swojej karie-
rze wiele niezwykłych postaci
kobiecych. Która wydała się
Pani najbardziej fascynująca?**

Małgorzata z „Mistrza i Mał-
gorzaty” Bułhakowa. Kiedy
Maciej Wojtyszko zapropono-
wał mi, żebym zagrała Małgo-
rzałę, najpierw zamarłam, a po-
tem odmówiłam, bo uważałam,
że jestem za mało „wiotka” do

tej roli. Ale Maciek się uparł
i twierdził, że jemu nie zależy
na wyglądzie, tylko na tym, co
się ma w duszy i w oczach. Mał-
gorzata jest mi najbliższa, bo
niesie tajemnicę. Czytając książ-
kę, można ją zrozumieć, ale kie-
dy zaczyna się ją grać, staje się
kimś niepojętym. Ja też mam
różne swoje tajemnice.

**– Czy ta utracona „wiotkość”
to problem dla aktorki?**

To jest problem bardziej dla
widzów niż dla mnie. Taśma re-
jestruje nas, aktorów, i naszą
młodość, a czas płynie. Ludzie
widzą mnie 20-letnią w „Jano-
siku”, niewiele starszą w „Nie
ma mocnych” i nie mogą się
pogodzić, że się tak zmieniłam.
Ja natomiast uważam, że teraz
moje ciało pasuje do mojej psy-
chiki. Długo wyglądałam nie-

przywoicie młodo, choć mia-
łam już psychikę dojrzałej ko-
biety. Grywałam podlotki, a by-
łam kobietą „po przejściach”.
W tej chwili jestem, jaka je-
stem. Kocham życie i kocham
każdy okres tego życia. Umiem
cieszyć się ze wszystkiego i
uśmiecham się, gdy ludzie na
ulicy mówią: „Jezus Maria, ale
pani gruba, jak się pani posta-
rzała”. Aktorzy żyją nie tylko
swoim życiem, spełniają się tak-
że w postaciach, które grają.
W pewnym sensie starzejemy
się wielokrotnie. Starzeje się nie
tylko Anna Dymna, ale także
moja Julia, Ofelia. I one od nas
odchodzą bezpowrotnie.

**– Uczy Pani młodych aktorów.
Nie zazdrości im Pani?**

Ja się sama zastanawiam, dla-
czego uczę. Bo prawdziwe wy-



chowanie wymaga czasu, którego ja nie mam. Dostajemy w swoje ręce młodych ludzi z różnych środowisk. Musimy odkrywać coś wewnątrz nich samych, o co się nie podejrzewali, uczyć ich sprzedawania swoich uczuć. To jest trudne, bo oni wstydzą się wielu rzeczy. Uczę ich, że ten zawód można wykonywać tylko wtedy, gdy się go naprawdę kocha i gdy naprawdę sprawia przyjemność. Ale coraz więcej jest studentów, którzy mówią: „Pani profesor, ja nie wiem, czy będę aktorką. Ja się tu chcę nauczyć dobrze ruszać i innych rzeczy, których się nie nauczę nigdzie indziej”. Kiedyś, jak się do tej szkoły ktoś dostał, to chciał za wszelką cenę grać. Teraz młodzi nie wiedzą, co ich po tych studiach czeka. Są bardziej zagubieni niż moje pokolenie.

– **Ale piękni i młodzi...**

Tak, muszę patrzeć na młodsze dziewczyny, chociaż niedawno sama taka byłam. To



Pierwszego męża, Wiesława Dymnego (pisarz, malarz, współtwórca „Płwnicy pod Baranami”), poznała, gdy miała 18 lat. Był jedną z najważniejszych postaci i największych miłości jej życia



FILMOTEKA NARODOWA



FILMOTEKA NARODOWA



PAP/CAF

Od lewej: jeszcze jako Anna Dzladyk w filmie Tadeusza Konwickiego „Jak daleko stąd, jak blisko” (1972); z Andrzejem Wasylewiczem w komedii Sylwestra Chęcińskiego „Nie ma mocnych” (1974); tytułowa rola w filmie Janusza Majewskiego „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny” (1982)

naprawdę nie jest takie miłe. W ogóle aktorstwo to okrutny zawód. Rozgoryczenie aktorek, które całe życie poświęciły teatrowi, a po latach teatr je odrzuca, jest wielkie. Mnie może spotkać coś podobnego. Dlatego uczę młodych ludzi. I zaczyna mi na nich zależeć jak na własnych dzieciach. Staram się, żeby dostali rolę w filmie, żeby mieli dobry debiut.
– Czy jest coś wspólnego we

wszystkich rolach, jakle Pani w ciągu tych 30 lat zagrała?
 Wspólne jest to, że staram się pokazać coś wartościowego. Wiem, że w każdym człowieku istnieje potrzeba dobra. Może właśnie dlatego ludzie piszą do mnie, że po obejrzeniu filmu czy sztuki z moim udziałem poczuli się silniejsi. Tu, na mój strych, przychodzą czasami pijacy. Tacy degeneraci – nazywam ich „rozwieltkami”. Wiem dobrze,

że gdyby mogli, to by mnie okradli. Ale z drugiej strony, jak się z nimi pogada, to widać w nich jakieś przebłyski szlachetności. I właśnie tę szlachetność chcę odkrywać w postaciach, które gram.
– I taką tolerancję dla „rozwielttek” wpaja Pani synowi?
 Uczę go nie tylko tolerancji. Wiem, co to znaczy być dobrą matką, bo byłam świetnie wychowywana. Do dziś jest to moją siłą. Nasz

dom był biedny, ale rodzice stawiali wymagania, nauczyli mnie pracowitości, odpowiedzialności. Moja mama mówiła mi, kiedy chciałam późno wrócić do domu: „Możesz iść, gdzie chcesz, bo wiem, że nic złego nie zrobisz, bo ty jesteś dobra”. I ja się starałam zasłużyć na to miano. Teraz wiem, że to jest jedyna droga. Żadne zakazy, żadne bicie. Po prostu zaufanie. Trzeba dzieciom dawać dobre rady, ale one i tak muszą swoje błędy popełnić.
– Udało się Pani nie zawieść swoich rodziców?

Chyba ich nie zawiodłam, raczej zaszokowałam. Kiedy poznałam Wiesława Dymnego, miałam 18 lat, a on – 32. Byłam ich ukochaną, niewinną córeczką: nie znałam nieprzyzwoitych słów, nie widziałam nigdy pijanego człowieka. A tu do domu zaczęły przychodzić anonimy, że on jest alkoholik, dziwny jakiś artysta.

– I jak rodzice zareagowali na wasz związek? Załamywali ręce?


Między mną a mamą odbyła się taka rozmowa: „Czy ty go kochasz?” „Tak, bardzo go kocham”. „A czy on cię kocha?” „Tak, bardzo mnie kocha”. „I to jest najważniejsze”, podsumowała moja mama. A ojciec powiedział: „To jest twoje życie. Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz”. On był twardy.

– A kiedy przedstawiła go już Pani rodzicom...

...to pokochali Wiesława, jak ja. Przepadali za sobą. Zaraz znaleźli wspólny język, bo byli tacy sami: ze wschodu, podobne dusze. Ojciec był inżynierem lotnikiem i majsterkowiczem. Mieliśmy odkurzacz, który ojciec sam zrobił. Pralka „kopała” i chodziła po całym mieszkaniu, ale ojciec też sam ją zrobił. Ojciec robił to wszystko z jakichś kótek i blaszek. Wiesiek też sam wszystko robił: projektował meble, murował ściany, szył buty, naprawiał przewody elektryczne. Więc jak się takich dwóch spotkało... Wiesiek na przykład rysował ojcu szkice wózećka: „Taki piękny, rzeźbiony będzie”. A ojciec krzychał: „Ale jakie fi, jakie fi trzeba zastosować w tym wzorze?!” Konstruowali razem różne rzeczy.

– A jak na Panią zareagowali rodzice Dymnego?

Mama Wiesława mieszkała w Jaworzu. Była dyrektorką szkoły. Wiesiek wysłał do niej telegram tej treści: „Przyjeżdżam we wtorek rano. Stary Dymny z Anią”. Jak przyjechaliśmy, matka przywitała nas dziwnie i badawczo mi się przyglądała. Dopiero następnego dnia okazało się, że na poczcie przekreślili tekst telegramu. Przyszli: „Stary Dymny – anioł”, za-



**Ja się na zdradzie
nie znam. Kiedy to robiłam,
poprzednia miłość
już się wypaliła.
A wtedy to nie jest zdrada.
Żeby była zdrada,
musi być miłość**

miast: „z Anią”. Mama Wieska pomyślała, że zwariowaliśmy.

– **Ten związek musiał być szalony.**

No tak, ludzie zwracali na nas uwagę. Wiesiu mnie nauczył najważniejszych rzeczy w życiu. Między innymi – czym można człowiekowi sprawić największą radość. Nigdy nie mieliśmy pieniędzy. Ja w teatrze zarabiałam 1700 złotych, on był człowiekiem wolnego zawodu, więc nic nie zarabiał. Robiliśmy sobie wspaniałe prezenty, tyle że mało kosztowne. A to wyrzeźbił mi figurkę, a to buciki mi zrobił, a to torebkę, a to broszkę. A ja mu kurtkę uszyłam, ścianę wymurowałam – tę, którą widać za panią. I to miało dla nas ogromną wartość. Przy nim nauczyłam się cieszyć drobiazgami.

– **A jednak życie nie oszczędziło Pani nieszczęść. Skąd taka pogoda ducha?**

Kiedy człowieka spotyka coś złego, ma do wyboru dwie drogi: albo odpowiedzieć buntem i czymś złym, albo zdobyć się na dystans i nawet z dramatycznych doświadczeń czerpać siłę. Los nas czasami okrutnie doświadcza i chciałoby się wtedy znienawidzić życie, ale z drugiej strony warto zacząć się zastanawiać, czy nie ma w tym jakiegoś głębszego sensu.

– **Jak Pani sobie ten sens tłumaczy?**

Nie tłumaczę go sobie, bo go nie rozumiem. Ale wierzę, że taki sens, sens cierpienia, istnieje. Bo inaczej można by oszaleć z rozpacz. Moja matka, która była najlepszym człowiekiem na świecie, umierała przez pięć miesięcy całkowicie sparaliżowana. Zachowała świadomość, porozumiewała się ze mną tylko oczami. Widziała, słyszała, myślała, ale nie mogła nic powiedzieć, niczym poruszyć. Jeżeli dobry człowiek tak odchodzi i tak cierpi, czemuś to musi służyć.

– **Co Pani pomagało w najgorszych okresach życia?**

Po tragicznej śmierci Wieska, gdy spalił się doszczętnie mój dom, najbardziej pomógł mi profesor ze szkoły – przedwojenny teatrolog, aktor, reżyser, który był antropozofem. Chodziłam do niego na wykłady, trochę jak na tajne komplety. I to mi bardzo dużo dało. Zrozumiałam, że są w życiu pewne rzeczy, z którymi nie wolno walczyć. Nie wolno złem odpowiadać na zło. Jeśli człowiek nikomu niczego złego nie zrobi, to ma ogromną energię. Dopóki jesteś niewinny – jesteś silny. Jak się coś złego zacznie kombinować, coś nieuczciwie zdobywać – pozornie można wejść wyżej, ale to jest nic niewarte, bo nie daje spokoju. W życiu jest coś takiego, że po to, by zrobić coś z sensem, trzeba mieć

Kocham życie, umiem cieszyć się ze wszystkiego i uśmiecham się, gdy na ulicy ludzie mówią: „Jezus Maria, ale się pani zmieniła...”

wewnętrzny spokój. Ja czasem mogę być w okropnej sytuacji życiowej, ale mam taką siłę.

– Co ją Pani daje?

Umiem coraz bardziej cieszyć się życiem, małymi rzeczami. Tym, że mam dla kogo żyć. Dużo lepiej człowiek się czuje, gdy żyje dla kogoś czy dla czegoś. Wszystko jedno, czy to będzie, mężczyzna, dziecko czy sztuka. Dla siebie nie opłaca się żyć.

– Ale uprawia Pani bardzo narcystyczny zawód.

To prawda, w aktorstwie jest się skupionym na sobie. To dziwny zawód. Jest w nim coś takiego, że chce się być najlepszym, że musi się popisywać, promować siebie, swoje ciało, swoje zdolności. Ale można to spożytkować w jakimś dobrym celu. Gdy grałam upodloną, zdegradowaną kobietę w „Antygonie w Nowym Jorku”, odkrywałam w niej przede wszystkim wewnętrzną czystość i potrzebę miłości. W każdym człowieku trzeba bronić człowieka. Po to właśnie jestem aktorką.

– Czy takie myślenie o aktorstwie nie jest zbyt anachroniczne?

Czasami sobie myślę, że rzeczywiście czasy się zmieniają, może powinnam zacząć robić reklamy i zarabiać miliardy. Ale zaraz przychodzi opamiętanie. Uczyli mnie mistrzowie, którzy uważali, że aktorstwo jest posłannictwem. Myśm kiedyś pełnili taką rolę. Ludzie chodzili do teatru jak do świątyni. Teraz aktor ma się tylko podobać, zarobić za to pieniądze. Ale ja nadal jestem romantyczką i już się nie zmienię.

– Zdarza się Pani czasem robić z życia teatr?

Jak się codziennie gra na scenie, to nie chce się mieć teatru w życiu. Więc żyję zupełnie normalnie, choć czasem jest to trudne. Muszę pamiętać o tym, że jestem osobą publiczną, że stale jestem obserwowana, oceniana i rozliczana z każdego gestu.

– Sława daje jednak pewną satysfakcję?

Popularność zyskuje się czasem bez żadnego powodu. I znika tak samo, jak przyszła. Jestem aktorką



Z 12-letnim synem Michałem na spektaklu „Śledem jest bestii molch – cyrk metafizyczny Wiesława Dymnego”, 1997



Z trzecim mężem, reżyserem Krzysztofem Orzechowskim

już 30 lat i czuję się jak taka przybrzeżna skała, narażona na stałe przyplawy i odpływy.

– Jak musi być mężczyzna, by zwrócił Pani uwagę?

Znałam najprzystojniejszych mężczyzn, jakich można spotkać, ale cechy zewnętrzne nie są dla mnie istotne. Lubię mężczyzn tolerancyjnych, z poczuciem humoru, uczciwych i prawych. Ludzi z pasją – takich, którzy się umieją do czegoś zapalić i płoną. Dlatego na przykład podoba mi się muzyka rockowa. Jak mój syn, Michał, który ma 12 lat, puszcza Big Cyca, Piersi czy Edytę Bartosiewicz,

śpiewam razem z nimi na całe gardło. Bo rockmani dają z siebie wszystko.

– A czego nie lubi Pani w mężczyznach?

Ze tak łatwo spuszczają z tonu, mówią: „Ja tego nie umiem, ja tego nie zrobię”. Coraz więcej pola oddają kobietom. A kobiety odpowiadają wtedy: „No dobra, to ja to zrobię za ciebie” i same starają się być mężczyznami. A ja bym chciała być słabą kobietą i nie zastępować mężczyzn, lecz ich dopełniać. Zawsze czuć męskie oparcie i opiekę.

– Mówi się, że mężczyźni łatwiej jest zdradzać.

Kobiety też zdradzają. Jeśli to robią z rozpaczy, są wytłumaczone. Zdradę z samotności i z poczucia krzywdy to ja rozumiem. Natomiast jeśli się to robi ot tak, dla zabawy, to ja tego nie rozumiem.

– Nie była Pani nigdy zdradzana?

Nie wiem. Chyba nie. Potrafię zrozumieć, że czasem mężczyzna gdzieś wyjedzie, znajdzie się w zupełnie innym środowisku, niezwykła aura go otumani i prześpi się z jakąś kobietą. Potem tego żałuje i nie wie, co ma zrobić. A może to w ogóle nie jest zdrada? Zdrada to jest permanentna nieuczciwość, krzywdzenie z rozmysłem.

– A Pani kiedyś zdradzała?

Nie odczuwałam takiej potrzeby. Ja jestem monogamistką. Bywają takie gęsi: pokocha jednego gąsiora i jak on zdechnie, ona zazwyczaj też. Jak jej się nie uda zdechnąć, ma nawet innego gąsiora, ale nie jest już najlepszą żoną. Tak więc na zdradzie ja się właściwie nie znam. Bo kiedy to robiłam, poprzednia miłość już się wypaliła. A wtedy to nie jest zdrada. Zeby była zdrada, musi być miłość.

– A więc Pani nie ma żadnych ciemnych stron...

Mam, ale po co o nich mówić? Michał! (woła do syna). Jakie ja mam ciemne strony?

Michał przerywa grę na komputerze i odpowiada: „Dziś mnie kompromitowałaś w sklepie i na ulicy”. Ciekawe, jak? „Udawalaś Kubusia Puchatka”. To chyba nie jest nic złego. Aaa! Już wiem, jaka jest moja zła cecha: jestem okropnie wymagająca. Mój syn ma przechlapane. „Nieprawda”, mówi Michał i wraca do komputera.

– Co Pani w życiu nie wyszło?

Rozwiodłam się z mężem. Jak człowiek w coś wierzy, w coś inwestuje i potem sam z tego rezygnuje, to chyba znaczą, że mu nie wyszło. Ale i z takich porażek zostaje coś pozytywnego. Ja z tego związku mam dziecko, więc to nie jest porażka.

– Jest Pani wierna, także Krakowowi.

Płacę, jak się pakuję, ale uwielbiam zwiedzać świat. Gdyby mnie ktoś pod groźbą kary śmierci wyrzucił z Polski, pojechałabym do Australii. To tak daleko, że tęsknota jest abstrakcją. Kiedyś z Anią Seniuk byliśmy w Sydney. Jak zobaczyłyśmy, gdzie jesteśmy i gdzie są nasze dzieci, zaczęłyśmy płakać nad mapą: przeraziły nas te miliony kilometrów, góry i oceany. Tam słońce wschodzi na zachodzie, a zachodzi na wschodzie. Na niebie nie ma ani jednej znajomej gwiazdy – wszystko jest inaczej. I nagle te gwiazdy okazują się bardzo ważne.

Rozmawiała ANNA KAPLIŃSKA